



Janusz Segiet

## Dwa nurty poezji śpiewanej

estrady podczas występów konkursowych. Zaczynają pojawiać się nowi ludzie — ubrani, czysti, posługujący się poprawnie instrumentem mowy, wiedzący do czego służy instrument muzyczny, używający jakiegoś jasnego, wyartykułowanego pasje. Coraz mniej nawiedzonych i kontestujących, zniknął zupełnie z repertuaru Stachura, pierwszy prorok dawnych bywalców, skrzynki z piwem przestały być niezastąpionym rekwizytem, coraz rzadziej straszą cienie tych, co dostali się do raju zachodniej cywilizacji, do sporadycznych przypadków należą nieodpowiedzialne gesty dyktowane spekulacjami politycznymi.

A co pozostaje twórczego, pozytywnego?

Po pierwsze widać, że poezja śpiewana trafiła w głąb, do ludzi mieszkających z dala od wielkich centrów kultury, że znalazła tam czyste i zdrowe warunki rozwoju. Ogromna większość uczestników spotkań i prawie wszyscy laureaci wywodzą się z małych miast.

Po drugie bardzo wiele dobrego zmieniło się w kwestiach warsztatowych, szczególnie muzycznych. Strona muzyczna tegorocznych prezentacji wyraźnie wybijają się i żalować należy, że fakt ten nie został dostrzeżony i w sposób wymierny uhonorowany. Wysoką nagrodę otrzy-

muje wtórny, manieryczny wykonawca, a przecież nie on, tylko akompaniujący mu skrzypek tworzył wartość estradową i zasłużył na uhonorowanie. Podobną uwagę można odnieść do innego występu efektownej dziewczyny, której popis byłby niczym, bez znakomitej muzyki i akompaniamentu fortepianowego. W ogóle instrumentarium na estradzie tegorocznych spotkań było bogate. Do przeszłości odeszły czasy, gdy posługiwano się wyłącznie klasyczną gitarą.

Po trzecie pewne przewartościowania następują również w repertuarze tekstowym. Wspomniałem już, że nie było ani jednego wiersza

Stachury. Inni „poeci przekłeci” również reprezentowani byli rzadko. Utrzymuje się natomiast poezja intelektualna w wydaniu Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Z wielką radością należy przyjąć ciągle wzrastającą popularność Leśmiana, pozostał Gałczyński, pamięta się o Grochowiaku, o przedstawicielach średniego i młodego pokolenia poezji współczesnej. Selekcjonowana jest uważniej twórczość własna („słowa moje, muzyka szwagra”). Liczy się fachowość, przygotowanie wyniesione ze szkół.

Każde spotkania w przeszłości miały swoich gwiazdów — kiedyś dawno Elżbietę Adamiak, niedawno Anę

Bańdo. W tym roku na miarę rewelacji zasłużyła sobie Orkiestra Teatru „Ata” z Jabłonny. Za tą dziwną nazwą kryje się trzech panów i dwie panie, dwie gitary akustyczne, akompaniament fortepianowy. A śpiewają wszystko i bardzo nośnie. Od elegijnego, dostojnego wiersza Wincentego Pola „Będziemy ślać”, programowo zupełnie niespotykanego podczas spotkań, aż po pastiszowy, letni zupełnie wierszyk Brylla.

„Ata” ma mnóstwo zalet, warsztatowych także. Śpiewa pełnymi, potężnymi głosami, korzystnie odbiegającymi od kwileń i łkań cierpiących i rozczarowanych. „Ata” śpiewa z pełną radością, z siłą, a jeśli trzeba potrafi zdobyć się na autokrytycyzm a nawet kpinę z tego, co robi!

Myślę, że właśnie taka wszechstronność w traktowaniu, przeżywaniu i przekazywaniu poezji jest wzorcem bardzo współczesnym, na teraz.

**D**WUNASTE Spotkania Zamkowe „Śpiewajmy Poezję” znamionują jakąś zmianę. Jeszcze nie wiadomo, czy na pewno, czy pierwsze sygnały przeobrażeń zostaną potwierdzone za rok, za dwa lata, ale jedno jest — oczywiście — impreza wyraźnie odbiegała od tego, co działo się rok temu i wcześniej. Wprawdzie wokół spotkań nadal usiłuje się wytworzyć atmosferę towarzyskiego podziemia i wciągać wszystko w kanał subkultury, ale wykonawcy popisów konkursowych i proponowany przez nich materiał poetycko-muzyczny bronią się przed manipulacjami i żyją na własny koszt i na swój sposób. Goście, starzy wyjadacze festiwalowi, primadonny kulturalni, menadżerzy goniący za interesami, resztki kontestatorów i niedobitki kultury nieoficjalnego obiegu — to jeden nurt spotkań. Nurt na szczęście zanikający. A nurt drugi, ten prawdziwy i autentyczny jawi się na